

Kronika tygodniowa.

Nareszcie skończył się już czas świąteczny, zniknęły zapasy ze stołu i z pod stołu, pozostało zaś tylko żalosne wspomnienie o tem, co zwykle w tym czasie po inne lata bywało, a czego teraz, z powodu ciężkich czasów, wywołanych wojną, nie było.

Z czystym sumieniem i ręką na sercu możemy powiedzieć, że właściwie święta Wielkanocne się nie udały, nikt nie miał humoru, wszyscy zaś apetyt i pragnienie, niestety, w przeważnej części nie zaspokojone!

A kto temu winien?... Wojna!

Nie uprzedzajmy jednak wypadków, ale przejdźmy dzień za dniem od środy począwszy, to jest od chwili, kiedy kronikarz zaczął zbierać materiały do nowej kroniki, bo poprzednia stękała już, gnieciona walcem maszyn drukarskiej.

Przedewszystkiem więc zacząłem się przygotowywać do uroczystości *prima aprilisowej*, chciałem bowiem urządzić jakiś kawał mojej starej, by się jej w ten sposób odwzajemnić za liczne niespodzianki, jakich nigdy mi nie szczędzi.

I, przyznam się, że mi się udało.

Przedtem u znajomego ogrodnika zamówiłem za piątkę (naturalnie na kredyt) bukiet, niczem miotłę i wysłałem go przez ekspresa wraz z listem, ale bez adresu.

Miał się zgłosić pierwszego kwietnia rano i nie zapomniał o tem, bo i to się często zdarza, że nawet ekspresi biorą nas na *fis*.

Można sobie wyobrazić, co to było w domu gadania i domysłów, gdy zapukał do drzwi, przynosząc list i bukiet.

— A to dla kogo? — pyta magnifika.

— Dla starszej pani! — odpowiedział w myśl instrukcji.

Teraz jednak pokazało się, że żadna z pań nie chciała się przyznać do tej roli, każda przecież miała na kwiaty ochotę i była pewną, że to dla niej.

— Może to nie tutaj? — badano dalej — Na kopercie niema adresu!

— Tutaj, proszę łaski pani! Ten pan, który mi dał list i bukiet, wyraźnie mi powiedział, do kogo mam odnieść.

— A jak wyglądał?

— Ano, taki wysoki, w calandrze...

— Blondyn, czy brunet?

— Pewnie blondyn...

— Może się mylicie? Przypomnijcie sobie!

— Blondyn!... Choć nie wiem pewno, bo mi się zdaje, że miał łysinę!

— Ciekawa jestem, kto to mógł być...

Teraz i ja, dotąd milczący uparcie, zaczynam udawać zazdrosnego męża, przybieram minę poważną, niczem żaba, siedząca na liściu łopuchu przed wskoczeniem do Rudawy i cedzę słowo po słowie:

— Ładna historia!... Wcale mi się to nie podoba!

— Co? — wrzasnęła stara — Nie podoba ci się? Bardzo proszę nie wtykać nosa w moje interesy!

— Chyba mam do tego prawo, jako twój rodzony mąż! — broniłem się, czując, że na języki nie dam babie rady.

— Rodzony, czy cioteczny, to mnie nic nie obchodzi! Ja się ciebie nie pytam, gdzie ty chodzisz i co robisz... — zwracając się zaś do ekspresa, dodała głosem tak słodkim, że nawet nie przypuszczałem, by była do czegoś podobnego zdolną — Możecie już odejść!... Macie tu na piwo!

Dała mu dziesięciohalerzówkę. Chłop spojrzął na nią z podejrzliwością, wydał pogardliwie wargi, na wszelki wypadek schował przecież szczodry dar i poszedł, prościuteńko zapewne do Siapsi na blachę głąbikowej w kratkę, albo silnej z mocną.

— Gadaj, od kogo te kwiaty! — wrzasnąłem teraz, przybierając pozę Otella.

— Ani myślę! — odpowiedziała z godnością — Nic cię to nie obchodzi!

— Tak?! W tej chwili idę do mego przyjaciela, adwokata i wnoszę skargę rozwodową!

— Co?... Ty niedołęgo, którego przez lat trzydzieści znoszę koło siebie, grozisz mi rozwodem? Poczekaj! Ja cię nauczę!...

I z defenzywy przeszła od razu w ofenzywę, ale z taką gwałtownością, że uważałem za stosowne cofnąć się „w bezpieczniejszy odcinek“, to jest w stronę stołu, gdy zaś następowała coraz bardziej i z coraz większym impetem, sam nie wiem, w jaki sposób, ale się znalazłem pod stołem... Czując się bezpiecznym w tym „dekungu“, pokazałem jej fige i zawołałem:

— A kuku!

To ją tak rozindyczyło, że byłaby mnie zaatakowała od frontu, lub próbowała się dostać bodaj „na tyły“, w tej chwili jednak ktoś do drzwi zapukał.

— Wylaź! — zawołała.

— Niema głupich! — odparłem — Nie wylezę! Ja jestem panem domu i pokażę ci przecież raz, że potrafię postawić na swoim!... Alboż mi tu źle?

Gdy pukanie się powtórzyło, rozpocząłem pertraktacje pokojowe i ostatecznie, gdy mi zapewniła spokojny i bezpieczny odwrót, wylażłem z kryjówki. Był zaś czas już najwyższy, bo właśnie we drzwiach pojawił się gospodarz, z przypomnieniem, że to już pierwszy kwiecień, on zaś nie otrzymał jeszcze czynszu za marzec.

Jakoś tak udało mi się go udobruchać, posiadając bowiem w wysokim stopniu rozwiniętą zdolność poskramiania dzikich zwierząt, tak, że mi już nawet proponowano wcale popłatną posadę w me-nażeryi.

Mruczał coś pod nosem, ale poszedł, widocznie zły, że go spotkał zawód.

Teraz dopiero komisjonalnie otwarto list i poczęto sobie go z rąk do rąk podawać... I ja, choć sam go pisałem, udałem ciekawego i zerknąłem żonie przez ramię. „Od starego, a wiernego wielbi-cielu!“ stało tam czarne na białem i więcej nic.

Rozpoczęły się domysły, kombinacje, narady, ja śmiałem się w duchu, udawałem przecież zagniewanego. Ale na tem nie koniec! To dopiero początek!

Z należytym nabożeństwem zaniesiono bukiet do salonu, umieszczono go w najwidoczniejszym miejscu, żona zaś była już gotową do wyjścia do sąsiadki, by się z nią podzielić radosną wiadomością, gdy wtem znów się odezwało pukanie.

Tym razem był to ten sam ekspres, który wyszedł stąd przed kwadransem.

— A wy co chcecie? — zapytano go *unisono*, jakby coś złego przeczuwając.

— A no — mówił, skrobiąc się za uchem — bo ja się proszę łaski pani pomyliłem! Ten bukiet i ten list miałem oddać akurat pod tym samym numerem i na tem samem piętrze, ale nie na tej ulicy. Czek stary, to już i czasem zapomina...

Można sobie wyobrazić ogólną konsternację i wy-myslanie na zgorszenie, jakie panuje teraz na świecie. Cóż jednak było robić?... Bukiet musiało się zwrócić, list także, choć koperta była już rozdarta. Magnifika zażądała nawet, by ekspres oddał jej napiwek, co się jednak nie stało, tymczasem bowiem już go miał czas w bezpiecznym miejscu ulokować.

Nie chciałem drażnić baby, bo wiem, że to niebezpieczne, pozwoliłem sobie przecież na uwagę:

— A to cię ktoś wziął na kawał! Ale nic dziwnego! Przecież dziś pierwszy kwiecień...

— Gdybym wiedziała, kto to, wydrapałabym mu oczy!...

I zrobiła taki gest, że mimowoli cofnąłem się, znając się dobrze na tych ręcznych robotach kobiecych, kontent przecież, że mi się udało wyprowadzić ją w pole.

Niewiele też straciłem na tym interesie, jak wyżej bowiem wspominałem, bukiet wziąłem na kredyt, a potem odsprzedałem go za połowę ceny jednemu ze znajomych, który kocha się w pewnej wdowie, obarczanej trzema kamienicami i obszerną oficyną, do której i ja niegdyś, gdym był jeszcze młody, także wdychałem. Nie ożeniłem się z nią jednak, ale tego nie żałuję, byłbym dziś bowiem już nieboszczykiem, jak ten nieszcześliwiec, który zdobył wówczas jej serce, rękę, posag i t. d.

Na ogół przyznać trzeba, że tegoroczny pierwszy kwiecień wypadł także słabo, w dniu tym wyjątkowo ludzie mówili prawdę i nie brali bliźnich na kawał, obiecując sobie przecież, że powetują to później, gdy się stosunki poprawią. Zwodzimy się przez rok cały, bodaj pierwszego kwietnia należy się więc odpoczynek.

Mnie nikt nie „wykiwał“ i ja już także nikogo, zapomniałem bowiem o tem, mając głowę nabitą różnemi mniejszej i większej wagi sprawami, przede-wszystkiem zaś ewakuacją i aprowizacją przedsięwziętą. A jestem znanym zapominałskim, tak że mógłbym być nawet owym profesorem uniwersytetu, który cylinder położył na fotelu, a sam powiesił się na haku w przedpokoju.

W Wielki Piątek obchodziliśmy tradycyjnego śledzia. Jako członek Towarzystwa opieki nad zwierzętami musiałem się starać, by biedak miał w czym pływać, wróciłem też do domu dopiero koło dziesiątej, w każdym razie „przed szperą“. Od żony dostałem także „śledzia“, ten mi jednak wcale nie smakował!

Zona jednak swoje, a ja swoje! Wigilia Bożego Narodzenia, Popielec i Wielki Piątek, to dni, w które wolno nawet żonatemu nieco się zabawić, byle w przy-

zwoitem towarzystwie i, o ile to możliwe, nie za swoje pieniądze...

Wielka Sobota to dawniej dzień bardzo ważny, przeznaczony bowiem na ostateczne robienie domowych porządków, jak n. p. wieszanie firanek (aż skóra na mnie cierpnie, gdy to wspomnę!), ubieranie stołu, popołudniu zaś na polowanie za księdzem i łykanie ślinki aż do czasu ukończenia rezurekcji. Wtedy wolno już dać buzi szyneczke i innym smakołykom, o których przez ostatnie cztery dni mógłś tylko żałośnie rozmyślać.

Tego roku porządek dzienny uległ zupełnej zmianie, połowica moja nie przygotowała żadnych gnieciuchów, ktoś jej bowiem powiedział, że po domach będą chodzić komisarze magistratu i konfiskować wszystkie bałabuchy, o ile nie użyje się do ich wypiekania mieszanej mąki. A jak tu wyobrazić sobie babę — brunetkę, gdy ona musi być blondyną?

Na tem wyszedłem dobrze ja sam, obeszło się mianowicie w tym roku bez wiercenia maku, obierania rodzyneków i migdałów, czynności zresztą bardzo słodkich, ale nieprzyjemnych, na które w Wielkim Tygodniu skazywany byłem, niczem na ciężkie roboty.

— Jeśli chcesz potem jeść — mawiała moja pocziwina — zapracuj na to!

— Ależ! — broniłem się, choć wiedziałem, że to nie pomoże wiele. — Ja wszelkie stodycze chowam sobie na życie przyszłe!...

Reskryptem magistratu, który poufnie dowiedział się, iż kury grożą na seryo strejkami, zakazano także malowania jajek, aby w ten sposób przeszkodzić marnowaniu tak drogiego środka spożywczego.

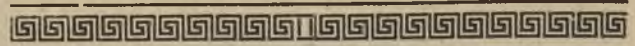
Ostatni dzień Wielkiego Tygodnia spędziłem więc spokojnie, przeważnie poza domem, otrzymałem bowiem od władzy wyższej dyspensę, iż wolno mi, ze względu na wyjątkową sytuację, zjeść obiad, gdzie mi się podoba.

Nie wytrąciło mnie to z równowagi cielesnej, ani umysłowej, raczej przyznam się, że zaszkodził mi pilznerek, który, aczkolwiek gorszy, niż dawniej, jest przecież przedziwnego smaku i wpływa bardzo dodatnio na wszelkie funkcje życiowe.

Widzę już, że braknie mi miejsca, bym mógł dokładnie zdać sprawozdanie z tego, com robił w niedzielę, poniedziałek i wtorek, na razie zaznaczę przecież, że pogoda dopisała, a deszczowy śmigus, bardzo lekki, mieliśmy w drugi dzień świąt dopiero. Zabawa wobec tego. podsycana staropolską gościnnością i podlewana rozmaitymi trunkami, była wszędzie, jak się patrzy. Według zwyczaju od niedzieli rano odwiedzałem znajomych, aby im złożyć życzenia i, choć wielu w domu nie zastałem, bo „wyewakuowali“ się już dobrowolnie, mogę powiedzieć z ręką na sercu, że czasu i darów Bożych nie zmarnowałem. Jadłem i piłem, aż mi się uszy trzęsły, tłumacząc sobie, że w ten sposób oszczędzam domowe zapasy, moja stara była bowiem na tyle przeczorna, że i ona wybrała się z wizytami świątecznymi, a na drzwiach mieszkania przybiła kartkę z napisem: „Wyjechaliśmy do krewnych na wieś!“.

Serce bolało mnie jednak srodze, że nie było tradycyjnej „Rękawki“. Cóż robić! Jak wojna, to wojna! Ostatecznie nie trzeba chodzić na Podgórze, ze zmartwienia można sobie dogodzić i w Krakowie!

I tak się też stało...



Notatnik kieszonkowy z raptularzykiem na rok 1915. Znana z swej ruchliwości i artystycznego smaku Drukarnia „Sztuka“ (Kraków, ulica Sobieskiego l. 16 A), wydała swym nakładem bardzo praktyczny kalendarz kieszonkowy z raptularzykiem na rok 1915. Jest on właściwie przeznaczony dla wojskowych, przydać się przecież może i cywilnej publiczności, zwłaszcza, że na rok bieżący pojawiło się bardzo mało tego rodzaju publikacji.

Kalendarzyk oprawny w skórę lub płótno, w kształcie portfelu, który wygodnie zmieścić można w kieszeni, zawiera prócz kalendarium, tabele do obliczania procentów, tabliczkę mnożenia, skalę stemplową, wykaz mieszkańców większych miast w Austro-Węgrzech, przepisy pensyjne dla wojskowych i cywilnych, raptularz i notatnik blokowy, który może być zmieniany. Ponadto dodano do niego dwanaście kart pocztowej pocztu połowej.

Wydanie bardzo staranne i niska cena powinny przyczynić się do tego, iż „Notatnik“ z czasem wyruguje od nas podobne wydawnictwa zagraniczne.

